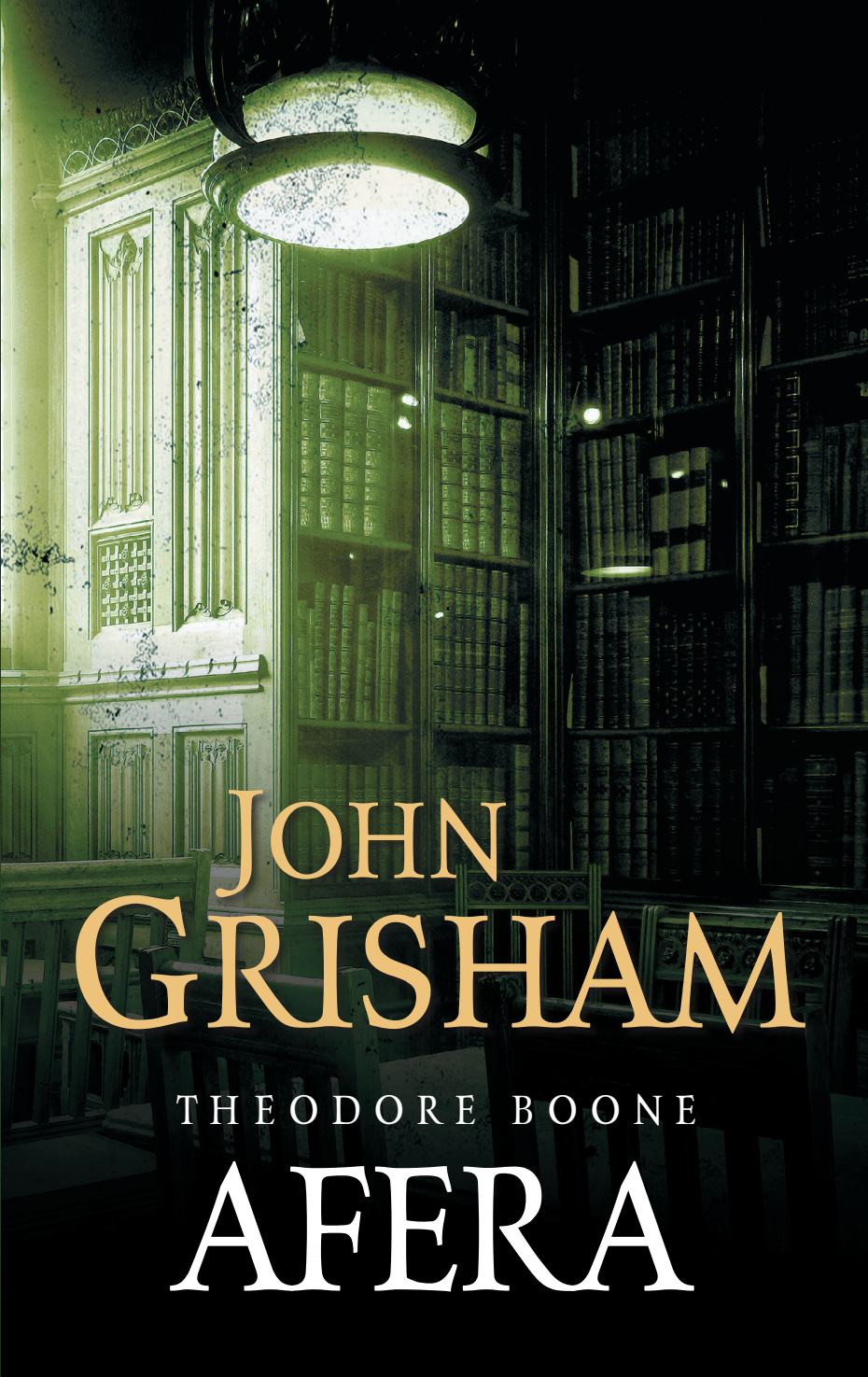




JOHN
GRISHAM

THEODORE BOONE

A F E R A

Rozdział 1

Theodore Boone obudził się w kiepskim nastroju. Na dobrą sprawę położył się już w kiepskim nastroju i nic się w ciągu nocy nie zmieniło. Kiedy pokój oświectliły pierwsze promienie słońca, wlepił spojrzenie w sufit, starając się wymyślić coś, co pozwoliłoby mu uniknąć najbliższego tygodnia. Na ogół lubił szkołę – kolegów, nauczycieli, większość zajęć, kółko dyskusyjne – ale zdarzały się chwile, kiedy chciał po prostu poleżeć w łóżku. Taka chwila właśnie nadeszła, najgorszy tydzień roku. Począwszy od następnego dnia, czyli wtorku, aż do piątku, każdy uczeń miał siedzieć w auli przy swoim stoliku i rozwiązywać koszmarnie testy.

Asesor wiedział, że dzieje się coś niedobrego, i w pewnym momencie porzucił swoje miejsce obok łóżka Theo i zajął inne, na kołdrze. Pani Boone nie podobało się, że pies śpi z jej synem, ale była na dole

i czytała poranną gazetę, o niczym więc nie wiedziała. A może tak? Czasem znajdowała sierść na pościeli i pytała Theo, czy Asesor sypia w jego łóżku. Chłopak zwykle mówił prawdę, ale czym prędzej dorzucał pytanie: „A co mam robić?”. Nie mógł pilnować psa, kiedy spał jak kamień. I, szczerze mówiąc, wcale nie chciał trzymać go w łóżku. Asesor miał irytujący zwyczaj rozwalania się na samym środku i oczekiwał, że on przesunie się na bok, co Theo często robił, ryzykując, że spadnie na podłogę i obudzi się z obolałą głową. Nie, wołał, by jego pies spał na swoim posłaniu na podłodze.

Zwierzę jednak robiło to, co miało ochotę robić, nie tylko w jego pokoju, ale w ogóle w całym domu.

W takie dni jak ten Theo mu zazdrościł. Ten to miał życie: bez szkoły, prac domowych, testów, nacisków. Jadł, kiedy mu się podobało, drzemał przez większość dnia w kancelarii i niczym się nie przejmował. Państwo Boone’owie dbali o jego potrzeby, a on robił to, co mu się podobało.

Theo wstał niechętnie z łóżka, podrapał psa po łbie, przywitał się z nim, ale bez zwykłego entuzjazmu, i poszedł do łazienki. W poprzednim tygodniu ortodonta poprawił mu aparat i teraz bolały go szczęki. Theo uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze, obejrzał dokładnie usta pełne metalu, którym pogarzystał, i starał się znaleźć nadzieję w tym, że być może

zdaży pozbyć się aparatu, nim pójdzie do dziewiątej klasy.

Wszedł pod prysznic, myśląc właśnie o dziewiątej klasie. Liceum. Nie był na nie gotowy. Miał trzynaście lat i był całkowicie zadowolony z gimnazjum w Strat-tenburgu; lubił swoich nauczycieli, w każdym razie większość z nich; był poza tym przewodniczącym kółka dyskusyjnego, skautem bliskim zdobycia najwyższej odznaki i... no cóż, uważał się za lidera. Z pewnością był jedynym młodocianym prawnikiem w szkole, jedynym dzieciakiem, który, o ile się orientował, marzył o karierze wielkiego adwokata albo genialnego sędziego w młodym wieku. Nadal się nie zdecydował. W dziewiątej klasie będzie jeszcze jednym zwykłym uczniem na samym dole drabiny. Tacy nie cieszą się w liceum szacunkiem. Gimnazjum było okay, ponieważ Theo znalazł w nim swoje miejsce, które miało za kilka miesięcy zniknąć. W liceum chodzi głównie o futbol, koszykówkę, randki, jazdę samochodem, zespół muzyczny, teatr, poważne zajęcia, ubrania, golenie zarostu i, hm... dorastanie. Nie był na to po prostu gotowy. Większość jego przyjaciół chciała jak najszybciej pójść do przodu i dorosnąć, ale nie on.

Wyszedł spod prysznica i wytarł się ręcznikiem. Asesor obserwował go i nie myślał o niczym z wyjątkiem śniadania. Pies szczęściarz.

Kiedy Theo szorował zęby, czy raczej czyścił aparat ortodontyczny, przyznał, że jego życie się zmienia. Na horyzoncie z wolna pojawiała się liceum. Jednym z najważniejszych i nieprzyjemnych sygnałów ostrzegawczych były testy standaryzowane, koszmarny pomysł zrodzony w głowach jakichś nieznanych bliżej ekspertów, którzy uznali, że należy poddać tym samym sprawdzianom w tym samym czasie każdego ósmoklasistę w stanie, tak aby dyrekcja gimnazjum w Strattenburgu i wszystkich innych szkół wiedziała, jak wypadł. To był jeden cel testów. Drugi, przynajmniej w Strattenburgu, polegał na podzieleniu ósmoklasistów na trzy grupy przed pójściem do liceum. Najlepsi zostaną szybko zakwalifikowani do indywidualnego toku nauczania. Ci odrobinę słabsi uplasują się na poziomie niezaawansowanym, a ci przeciętni będą traktowani normalnie i cieszyli się liceum bez szczególnych przywilejów.

Testy te jednak miały jeszcze jeden cel – ocenę pracy nauczycieli. Jeśli klasa któregoś z nich wypadła naprawdę dobrze, mógł się ubiegać o premię. A jeżeli kiepsko, groziły mu przeróżne konsekwencje. Łącznie ze zwolnieniem z pracy.

Nic więc dziwnego, że cały ten proces złożony z testów, punktacji i oceny nauczycieli stał się niezwykle kontrowersyjny. Uczniowie nienawidzili go, co zro-

zumiały. Większości nauczycieli też się nie podobał. Niemal wszyscy rodzice pragnęli widzieć swoje dzieci w klasach o profilu rozszerzonym i prawie wszyscy byli rozczarowani. Ci, których latorośle oceniano gorzej, byli wkurzeni.

I tak toczyła się gorąca dyskusja. Pani Boone była przeciwniczką testów, więc, oczywiście, jej mąż je popierał. Rodzina omawiała tę sprawę od wielu tygodni, przy kolacji i w samochodzie, nawet oglądając telewizję. Już od miesiąca nauczyciele klas ósmych przygotowywali uczniów do testów. Sformułowanie „nauka przed testami” stanowiło ulubione powiedzenie, które oznaczało, że „nauczanie kreatywne” jest wykluczone i że nikt nie czerpie z lekcji żadnej przyjemności.

Theo miał już dosyć testów, choć jeszcze się nawet nie zaczęły.

Ubrał się, wziął plecak i zszedł na dół z Asesorem depczącym mu po piętach. Przywitał się z matką, która jak zwykle leżała w szlafroku na kanapie, popijając kawę i czytając gazetę. Ojciec zawsze wychodził wcześniej i spotykał się z przyjaciółmi w restauracji w śródmieściu, żeby poplotkować przy kawie.

Theo nappełnił dwie miski płatkami Cheerios i jedną postawił na podłodze dla Asesora. Spożywali posiłek w milczeniu, ale czasem zaglądała do nich pani Boone, żeby pogawędzić. Robiła tak, ilekroć podejrzewała, że

syna coś gryzie. Tego dnia weszła do kuchni, naląła sobie jeszcze kawy i usiadła naprzeciwko niego.

– Co będzie dzisiaj? – spytała.

– Kolejne ćwiczenia przed testami.

– Denerwujesz się?

– Nie bardzo. Jestem już zmęczony. Nie wychodzą mi te testy, więc ich nie lubię. – Była to prawda. Theo dostawał celujące oceny z przedmiotów humanistycznych, czasem nieco gorsze ze ścisłych, ale testy standaryzowane nigdy nie szły mu za dobrze. – A jeśli nie zakwalifikuję się do programu rozszerzonego dla zaawansowanych?

– Teddy, pójdzie ci świetnie w liceum, college'u i na wydziale prawa, jeżeli postanowisz tam studiować. Nie martw się o to, gdzie wylądujesz w dziewiątej klasie.

– Dzięki, mamu. – Jej słowa sprawiały mu przyjemność, mimo że nazywała go „Teddym”, co na szczęście robiła tylko wtedy, gdy byli sami.

Miał kolegów, których rodzice denerwowali się z powodu testów tak bardzo, że nie mogli w nocy zmrużyć oka. Byli przekonani, że jeśli ich dzieciaki nie osiągną odpowiednich wyników, będzie je czekało nędzne życie. Cała ta sprawa wydawała mu się niemądra.

– Wiesz chyba, że w całym kraju narasta gwałtowny sprzeciw wobec tych testów – powiedziała matka. – Stają się bardzo niepopularne, poza tym dochodzi do oszustw.

– Jak można oszukiwać na teście?
– Nie bardzo wiem, ale czytałam o tym. W którymś okręgu nauczyciele zmienili odpowiedzi. Trudno w to uwierzyć, prawda?

– Dlaczego jakiś nauczyciel miałby to robić?
– No cóż, w tym akurat przypadku szkoła nie cieszyła się zbyt dobrą opinią i miała warunkowe zezwolenie na działalność. Poza tym nauczyciele chcieli dostać premię. Bez sensu.

– Chyba zwymiotuję. Jestem błądy?
– Nie, Teddy. Wyglądasz jak okaz zdrowia.
Była już ósma, najwyższy czas się zbierać. Theo umył obie miski i jak zawsze zostawił je w zlewie. Po całował mamę w policzek.

– Lecę.
– Masz pieniądze na lunch? – Pytanie, które padało nieodmiennie pięć razy w tygodniu.

– Tak. Jak zawsze.
– I odrobiłeś prace domowe?
– Wszystkie, mamó.
– Kiedy cię zobaczę?
– Zajrzę po szkole do kancelarii. – Theo wpadał tam codziennie po lekcjach, lecz matka i tak zawsze o to pytała.

– Uważaj na siebie – powiedziała. – I pamiętaj, żeby się uśmiechać.

- Uśmiecham się, mamó.
- Kocham cię, Teddy.
- Ja też cię kocham.

Wyszedł na dwór i pożegnał się z Asesorem, który miał pojechać samochodem z panią Boone do kancelarii, gdzie przez cały dzień będzie spał, jadł i o nic się nie martwił. Theo wskoczył na rower i ruszył czym prędzej przed siebie; żałował, że przez następne cztery dni nie może być psem.

Rozdział 2

O ósmej czterdzieści rozległ się dzwonek i pan Mount wezwał swoje zastępy do zachowania porządku. Zazwyczaj w poniedziałek uczniowie byli rozwydrzeni i gadali bezustannie o tym, co wydarzyło się w weekend. Tego dnia jednak sprawiali wrażenie przegaszonych. W gruncie rzeczy wszyscy, począwszy od ósmoklasistów, a skończywszy na nauczycielach i pracownikach administracji, może nawet sekretarkach i dozorcach, myśleli ze strachem o nadchodzącym tygodniu.

Woody podniósł rękę.

— Proszę pana, mam pomysł. Nie interesuje mnie program dla zaawansowanych i jestem za mądry na zwykły program, więc dlaczego nie mogę sobie odpuścić, być normalnym i nie zdawać tych wszystkich testów?

Pan Mount się uśmiechnął.

– Dlatego że wymaga tego od ciebie szkoła. To jedyny sposób, żeby stwierdzić, że funkcjonuje ona prawidłowo.

– Nasza szkoła mieści się w pierwszych dziesięciu procentach w stanie, tak przynajmniej wszyscy nam powtarzają – odparł Woody. – Oczywiście, że idzie nam dobrze. Mamy wspaniałych nauczycieli i genialnych uczniów.

– Przykro mi. Słuchajcie, też nie jestem zwolennikiem tych testów, jednak to nie ja ustalam zasady.

Woody był w swoim żywiole.

– Okay, ale proszę się rozejrzeć po klasie. Wiemy, że Chase, Joey i Aaron, może jeszcze Theo, osiągną dobry wynik i dostaną się do grupy zaawansowanych. Wiemy też, że Justin, Darren i oczywiście Edward wypadną kiepsko. Dlaczego pozostali nie mieliby przyznać, że są przeciętni, i darować sobie testy?

W chórze posykiwań, które się rozległy, przebił się głos Edwarda:

– Mów za siebie, idioto!

– Mój współczynnik inteligencji jest wyższy od twojego – wypalił Darren.

– Prawie oblałeś wychowanie fizyczne! – wrzasnął Justin siedzący z tyłu klasy.

– Okay, okay – powiedział uspokajająco pan Mount, podnosząc dłonie. – Wystarczy.

– Chyba zwymiotuję – oznajmił Woody. – Naprawdę robi mi się niedobrze.

– Dosyć tego. Zaraz macie powtórzenie z matematyki z panią Garman, potem lekcję sprawności językowej z panią Eberlee, a później piętnastominutową przerwę. Wiem, że jesteście wszyscy podekscytowani. Chodźmy.

Jęcząc i postępując, wyszli z sali, jakby mieli lada chwila stanąć przed plutonem egzekucyjnym.



Po trzech godzinach tortur, nie kryjąc zadowolenia, uczniowie zebrali się w stołówce na półgodzinną przerwę na lunch. Theo chciał odseparować się na chwilę od chłopaków i zauważył przypadkiem, że April Finne-
more siedzi sama. Wziął tacę ze spaghetti i sałatką i przyłączył się do niej.

– Dobrze się bawisz? – spytał cicho.

Byli przyjaciółmi; nie byli parą, nic z tych rzeczy, choć Woody i inni koledzy naśmiewali się czasem z Theo i jego dziwnej dziewczyny. April nie była dziwna, tylko inna. Poważna, czasem humorzasta, nie cieszyła się zrozumieniem ze strony koleżanek z klasy. Ubierała się bardziej jak chłopak niż dziewczyna, obcinała włosy na krótko i nie interesowała się modą, plotkami, portalami społecznościowymi ani niczym, co uważała za trywialne. Kochała sztukę i chciała zo-

stać malarką w Paryżu albo Santa Fe, gdzieś daleko od domu, ponieważ nie uchodził on za szczęśliwe miejsce. Jej rodzice byli stuknięci. Starszy brat i siostra już wyfrunęli z gniazda. April często była sama i musiała sobie radzić bez niczyjej pomocy.

Theo był jedynym ósmoklasistą, który starał się ją zrozumieć.

– Nudzisz się tak samo jak ja? – spytał.

– Potwornie. Nie mogę się doczekać piątku. Żeby mieć już spokój z tymi testami.

– Denerwujesz się? – spytał, zgarniając widelcem dużą porcję spaghetti.

– Tak, i to bardzo. Muszę załapać się na program rozszerzony, bo zapewnia więcej zajęć ze sztuki. Nic innego mnie nie obchodzi. Klasy o tym profilu są małe i prowadzą je najlepsi nauczyciele. – Mówiła cicho, bawiąc się sałatką na talerzu. Skubała jedzenie jak ptaszek. Nie tknęła bułki, w którą Theo wlepił wzrok.

– Świetnie ci pójdzie, April. Mogłabyś dostawać najwyższe oceny, gdybyś tylko chciała.

Nie dostawała, ponieważ żadne z rodziców nigdy od niej w domu niczego nie wymagało. Miała więcej nieobecności niż inni uczniowie, a na lekcjach była często nieprzygotowana. Szło jej świetnie z francuskiego i hiszpańskiego, ale poza tym nic jej nie interesowało. Z wyjątkiem sztuki.

– Co słyszeć w domu? – rzucił, rozglądając się. Pytanie było niebezpieczne, ponieważ mogła paść dosłownie każda odpowiedź. Państwo Finne more wynajmowali dom w gorszej części miasta, a April nikogo nie zapraszała. Theo to rozumiał.

– Chyba dobrze. Jak zwykle. Przesiaduję na ogół w pokoju, maluję i czytam książki.

– Cieszę się, że wszystko w porządku.

– Dzięki, Theo. Świetnie ci pójdzie na sprawdzianach.

– Mam to gdzieś.

– Nieprawda. Jesteś dobrym uczniem, potrafisz walczyć. Chcesz być zawsze najlepszy, chcesz studiować prawo. Nie mów mi, że masz to gdzieś.

– Okay, może nie do końca. Ale studia prawnicze to odległa przyszłość.

– Owszem. Najpierw musimy przeżyć liceum.

– Umowa stoi.

Z drugiego końca sali zbliżył się do nich chłopak imieniem Pete; wydawało się, że chce coś powiedzieć. Chodził do innej klasy i Theo ledwie go znał. Nie miał niczego w dłoniach, ani tacy, ani torby z jedzeniem. Usiadł i zerknął niepewnie na April, a potem na niego.

– Cześć, Pete – rzucił Theo.

– Mogę z tobą pogadać? – spytał chłopak nieśmiało, nie zwracając uwagi na April, jakby nagle zniknęła.

– Jasne. O co chodzi?

– Możemy porozmawiać sam na sam?

– Już skończyłam – dziewczyna wzięła tacę i wstała. – Zobaczymy się później, Theo.

– Przepraszam – powiedział Pete, kiedy April się oddaliła. – Nie chciałem wam przeszkadzać.

Ale ci się to udało, pomyślał Theo, lecz nic nie powiedział. Pete miał siniaka na policzku i wyglądał na przestraszonego.

– Możemy wyjść na dwór? – spytał.

– Jadłeś? – zainteresował się Theo.

Pete skinął nieznacznie głową, jakby nie był pewien.

– Tak.

Theo wsunął w usta tyle spaghetti, ile tylko zdołał, i zaniósł swoją tacę do okienka. Wyszli na dziedziniec szkolny i ruszyli wzdłuż ogrodzenia, z dala od innych uczniów. Spacerowali dłuższą chwilę; wydawało się, że Pete nie jest w stanie wydusić z siebie słowa, więc Theo przełamał w końcu lody.

– Co się stało z twoim policzkiem?

– Znasz się na prawie i takich rzeczach?

– Tak mi się wydaje. Moi rodzice są prawnikami. Sporo się od nich nauczyłem. O co konkretnie chodzi?

– Mój tata dużo pije, zażywa też narkotyki. W sobotę wrócił do domu późno, kompletnie zalany, i wdał się z mamą w straszną awanturę. Uderzył ją i rozciął

jej wargę, było nawet trochę krwi. Jestem najstarszy, mam dwie młodsze siostry, próbowałem pomóc mamie. Oberwałem od niego kilka razy. Moja dziesięcioletnia siostra, Sharon, zadzwoniła na policję. Aresztowali tatę. To było okropne, po prostu okropne. Siedzi w więzieniu i teraz mama, ja i siostry boimy się cholernie, co będzie, jak wyjdzie.

Theo słuchał uważnie; cały czas spacerowali po szkolnym podwórzu.

– Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

– Tak, ale nigdy mnie nie uderzył. Kilka miesięcy temu mama zagroziła, że wezwie policję, i uspokoił się. Powiedział, że ją zabije, jeśli komukolwiek powie. Jeżeli mama teraz to robi, tata pójdzie do więzienia i straci pracę. Nie mamy dużo pieniędzy, Theo. Mama pracuje w dwóch miejscach na pół etatu. Jesteśmy chyba w niezłych tarapatkach. Jak powinna postąpić? Siedzieć cicho i wciąż obrywać, dopóki jej nie zabije, czy powiedzieć o wszystkim policji i posłać go do więzienia? Nie wiemy, co robić.

Theo miał tylko trzynaście lat, a takie pytania nie byłyby łatwe nawet dla dorosłego.

– Wciąż siedzi w areszcie?

– Tak. Zadzwonił stamtąd wczoraj wieczorem i powiedział, że dzisiaj wychodzi. Mama jest śmiertelnie przerażona. Tak jak ja.

– Czy ona zna jakiegoś prawnika?

Pete parsknął. Co za głupie pytanie.

– Nie stać nas na adwokata. Właśnie dlatego z tobą rozmawiam.

– Nie jestem prawnikiem. Nie mogę udzielać porad.

– Wiem, ale co mamy robić?

Theo nie miał pojęcia, ale musiał coś postanowić. Gdyby siedział z założonymi rękami, Pete i jego matka mogliby się znaleźć w prawdziwym niebezpieczeństwie.

– Moja mama będzie wiedziała – odparł. – Jest w mieście najlepszą specjalistką od rozwodów i niczego się nie boi. Możesz dziś po południu przyjść ze swoją mamą do naszej kancelarii?

– Trudno powiedzieć. Nie jestem pewien, czy ona się zgodzi, bo jak tata się dowie, że rozmawiała z prawnikiem, znowu się wścieknie. Matka jest w pułapce i nie wie, dokąd pójść ani co robić.

Theo zatrzymał się i położył dłoń na ramieniu chłopaka.

– Posłuchaj. Nie bardzo wiem, co robić, i ty też nie bardzo wiesz, ale jesteśmy tylko dziećmi, prawda? Moja matka ma cały czas do czynienia z takimi sprawami i udzieli twojej możliwie najlepszej rady. Będzie dokładnie wiedziała, co i jak. Zaufaj mi i zaufaj jej. Dam ci adres kancelarii i pogadam z mamą. Spotkamy się tam po południu i wszystko zacznie wyglądać lepiej. Obiecuję.

Theo zauważył, że chłopcu drży warga, a oczy wilgotnieją.

– Dzięki – wydusił z siebie Pete łamiącym się głosem.



Godzinę później Theo cierpiał na lekcji biologii, poświęconej powtórce materiału, podczas gdy jego myśli krążyły wokół rozmowy z Pete'em. Biedny chłopak żył w jakimś koszmarze: bał się, że oberwie od brutalnego ojca, i obawiał się o bezpieczeństwo matki. Jak taki dzieciak miał przez cztery dni zaliczać sprawdziany, skupiać się na egzaminach i osiągnąć dostatecznie dobre wyniki, żeby dostać się do odpowiedniej klasy w liceum? A przecież to miało zadecydować o jego przyszłości. Theo nie widział w tym wielkiego sensu.